dawały. Szczury były wszędzie! Odganianie kijami zmuszało je do taktycznego rozpraszania się na chwilę, ale wkrótce wracały. Efekt był porównywalny z uderzaniem fal morskich o brzeg: woda oddala się, ale zaraz od nowa powraca, i tak bez końca. Ostatecznie musieliśmy się z tym pogodzić, że nie jesteśmy w stanie przepędzić szczurów z tej nory w kanałach, podobnie jak one nie są w stanie przegonić nas. Tata przyjął zatem filozoficzną postawę, uznając, że będziemy się musieli wzajemnie do siebie dostosować.

Ta nowa kryjówka mieściła się poniżej kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Śnieżnej. „Maria, nasza Śnieżna Pani" – tak się mówiło. Pamiętam, jak pomyślałam sobie, że to dobry znak, ukrywać się pod kościołem. Oczywiście, byliśmy Żydami, ale ja czułam, że jestem pod opieką. Miałam wrażenie, że Bóg czuwa nad nami. Nasz Bóg, ich Bóg... to nie miało żadnego znaczenia. Mama zaczęła w tym czasie uważać Leopolda Sochę za naszego anioła stróża, teraz on czuwał nad nami w cieniu kościoła Matki Boskiej Śnieżnej, pomagając przetrwać. Tata zapamiętał, że 10 czerwca 1943 roku, w kilka dni po naszym przybyciu do nowego miejsca w kanałach, nad kryjówką wierni celebrowali uroczystość Bożego Ciała. Pamiętał, jak do naszego podziemnego bunkra docierały odgłosy uroczystej procesji i odprawianej mszy, jak słychać było brzmienie dziecięcych głosików. Tata napisał o mnie w swoim dzienniku, że posmutniałam. Wtedy boleśnie odczułam różnicę pomiędzy naszym podziemnym życiem a tym, które toczyło się na powierzchni. Zapewne jakoś musiałam okazać tacie to, jak pragnęłam być tam, na górze, w słońcu, zbierać kwiaty i bawić się z dziećmi.

Tata świetnie się orientował w rozkładzie ulic na powierzchni w stosunku do naszego położenia. Znał dobrze ten kościół i otaczający go plac. Nie zawsze prawidłowo rozeznawał się w labiryntach pod ziemią, nie był pewien, jak dostać się z miejsca na miejsce, ale był dumny

z tego, jak dobrze zna ulice i budynki Lwowa. W opowiadaniu o nich znajdował ogromną przyjemność. Ja też byłam dumna z mojego taty, i to jak. On także był naszym aniołem stróżem. I tak wiele wiedział! Znał się na tylu rzeczach! Mógł opowiedzieć, w którym roku wzniesiono ten kościół, w jakim stylu, kiedy rozbudowano tę czy inną ulicę, kiedy jaka część kanałów została ostatecznie zabudowana. Czegokolwiek człowiek chciałby się dowiedzieć o mieście, wystarczyło zapytać jego. Doszedł i do tego, że w plątaninie podziemnych tuneli i rur rozeznawał się równie dobrze, jak w układzie ulic i zaułków Lwowa na powierzchni, ale na początku Socha musiał szkicować mu mapy.

Ta nasza nisza poniżej kościoła mierzyła około dziesięciu na mniej więcej dwanaście metrów. U dołu jednej ze ścian znajdował się właz do rury, która była naszym jedynym bezpiecznym wyjściem. Na przeciwległym krańcu pomieszczenia, nad głowami, znajdował się właz i wyjście z kanałów wprost na ulicę. Do wyjścia prowadziła stalowa drabinka, zamocowana w ścianie, sięgająca samej pokrywy. Używaliśmy czasami tej drabinki do wieszania rzeczy, do suszenia ubrań, które właściwie wilgotne były na okrągło, i do podwieszania cennego jedzenia, dzięki czemu nie musieliśmy go przechowywać na podłodze, gdzie szczury miały dostęp do zapasów. Żyliśmy tak blisko kościoła i otaczającego go placu, prawie tam byliśmy; mogliśmy słyszeć rozmowy ludzi na ulicy ponad naszymi głowami. Musieliśmy się pilnować, zachowywać w podziemnej kryjówce jak najciszej, bo jeśli my słyszeliśmy dźwięki z powierzchni, to i nas można by usłyszeć. Na górze bawiły się dzieci. One się nieustannie bawiły. Jeśli mogliśmy usłyszeć bawiące się dzieci, to oznaczało, że na górze świeci słońce. Jakby kończyła się noc, a nastawał dzień.

Nie lubiłam tego miejsca w kanałach. Nie miałam nic przeciw niemu, ale go nie lubiłam, i już. Co tam zresztą mogło być do lubienia?

Ciemność, obrzydliwy smród i przejmujący ziąb. Wcale nie było tak wygodnie godzinami siedzieć na obłych kamieniach, do tego wysokość do sufitu nie była wystarczająca, by dorośli mogli się wyprostować. Tylko my z Pawłem nie mieliśmy z tym problemu. Nawet Jakub Berestycki, u którego zauważyłam nieszczęsny garb, nie mógł sobie pozwolić na swobodne wyprostowanie się.

Rura prowadząca do naszego schronienia miała zaledwie siedemdziesiąt centymetrów wysokości i czterdzieści centymetrów szerokości. Ojciec i inni mężczyźni musieli nią przepełzać każdego dnia, by zebrać dla naszej gromady trochę wody pitnej. To było mordercze zadanie. Dziś wydaje mi się to wręcz niemożliwe, a przecież w ten sposób zapewniali nam regularne zaopatrzenie w wodę do picia. Tak działo się niezmiennie, każdego dnia. Socha oceniał, że dystans pokonywany rurami wynosił około dwóch kilometrów, bo tyle wynosiła odległość do przeciekającej fontanny, która stała się dla nas źródłem świeżej wody. Do czołgania się w wąskiej rurze, w której ogólnie człowiekowi jest się ciężko poruszyć, dochodziło jeszcze transportowanie czajnika, trzymanego za rączkę zębami. Na drugim krańcu rury, kiedy w końcu mężczyźni docierali do fontanny, nie mogli zawrócić. Musieli więc wracać, czołgając się do tyłu. Na te zaopatrzeniowe ekspedycje wyruszało ich dwóch czy trzech dziennie, raz za razem, a każda pojedyncza wyprawa zabierała około dwóch godzin. Daleka droga, pokonywana dla odrobiny wody. Czasami rura była tak zaciśnięta, że przeciskanie się było szczególnie ciężkie, bywało, że tata wracał z rozdrapanymi, krwawiącymi rękami. Nie dało się uniknąć ostrych krawędzi rury oraz śrub, które wystawały w przejściu. Ubrania taty były w strzępach.

Od czasu do czasu mężczyźni podejmowali się innych eskapad, by zdobyć jakieś materiały czy zaopatrzenie. Nie orientowali się jeszcze

dobrze w podziemnych sieciach przejść, dlatego mogli chodzić jedynie swoimi wcześniejszymi tropami. Przez to kilka razy trafili z powrotem do piwnicy baraku Weissa, do szybu, który w cementowej podłodze wykopali kilkanaście tygodni wcześniej. Znajdowali tam porzucone przedmioty gospodarstwa domowego jak garnki czy patelnie – te wszystkie rzeczy miały dla nas wartość większą niż najkosztowniejsza biżuteria. Korzystali z tych dobrodziejstw, dopóki pewnego razu ktoś z nich nie zachował się nieostrożnie. Jeden z mężczyzn został dostrzeżony przez okno baraku, kiedy najspokojniej w świecie myszkował pośród pozostawionych rzeczy. Widział go ktoś z gestapo, natychmiast ruszył w pościg, ale przyłapany na buszowaniu zdołał się błyskawicznie przedostać do przejścia i kanału. Następnego razu nasi próbowali wrócić do baraku, ale okazało się, że wejście do piwnicy zostało zabite deskami.

Socha i Wróblewski również docierali do nas „czterdziestką", jak fachowo określali rurę. To było jedyne podziemne przejście, poza włazem z ulicy, prowadzące do zamieszkiwanej przez nas niszy. Nasi mężczyźni wciąż nie mogli przywyknąć do poruszania się w ciasnych i wąskich przestrzeniach, ale dla Sochy i Wróblewskiego to było normalne. Tak przemieszczali się z miejsca na miejsce w tym podziemnym świecie. Każdego dnia dostarczali nam nieco jedzenia, zwykle był to jeden lub dwa bochny chleba, choć jak ojciec odnotował w swoim dzienniku, przynosili także kiełbasę. Nie pamiętam żadnych kiełbas, ale ja po krótkim czasie tkwienia w kanałach bardzo ciężko się rozchorowałam, więc nie zwracałam uwagi na jedzenie. Dostałam czerwonki, podczas której ma się bardzo silną krwawą biegunkę. Chorowałam, cierpiałam długie tygodnie, właściwie od samego początku naszego pobytu w niszy pod kościołem Matki Boskiej Śnieżnej. Pawełek też był bardzo chory. Jak tylko założyliśmy to nasze podziemne obozowisko pod Marią Śnieżną, czerwonka dotknęła właściwie wszystkich, ale nikt jej

tak ciężko nie przechodził jak Paweł i ja. Rodzice oddawali nam każdą swoją rację świeżej wody do picia. Zbierali kroplę do kropli ze swoich porcyjek, trzy czwarte szklanki dziennie dla każdego, a sami nie brali do ust nawet odrobiny. Wszystko zachowywali dla mnie i Pawła, dzięki czemu zapewne utrzymali nas przy życiu. Ojciec pisał później, że on też się rozchorował, że pragnienie męczyło go tak bardzo, iż czasem pił wodę ze ścieków. W swojej pozytywnej filozofii uznał, że te ścieki z całą swoją zawartością nie uczynią go ani odrobinę bardziej chorym, niż już jest. To nie był na pewno dobry pomysł, ale tata tak właśnie robił. W misternych konstrukcjach myślowych, które zawsze nakazywały mu szukać pozytywnych stron w najbardziej beznadziejnych sytuacjach, doszedł do wniosku, że skoro jest już tak chory, to choroba nie może się jeszcze bardziej rozwinąć z tych samych przyczyn, z których się pojawiła. Trudno powiedzieć, czy powodem naszych dolegliwości były zarazki znajdujące się w wodzie pitnej, jedzeniu czy też w powietrzu, ale to była wyniszczająca, wycieńczająca choroba. Nie ma co ukrywać, że też mocno dla wszystkich nieprzyjemna, ale z drugiej strony te mdłości i biegunka w żaden znaczący sposób nie dodały obrzydliwości paskudztwom, pośród których i tak żyliśmy.

Przez całe lata nie mogłam zapomnieć cierpień Pawełka. On był ze wszystkich nas najbardziej chory przez te pierwsze tygodnie, nie zapomnę, jak rodzice panicznie bali się o stan jego zdrowia. Kiedy już jako dorosła osoba odważyłam się w końcu przeczytać pamiętnik mojego ojca, okazało się, że to ja byłam najbardziej chora. Byłam potwornie wycieńczona i odwodniona, ale cały czas żyłam świadomością ciężkiego stanu mojego małego braciszka. Cztery lata spędziłam, opiekując się nim, chroniąc go, myśląc za nas dwoje, gromadząc jego cierpienia. Musiało być dla mnie zatem oczywiste, że muszę sama znaleźć siły na walkę z moim choróbskiem, że to mój obowiązek.

Polacy przynosili nam nie tylko jedzenie. Zaopatrywali nas w karbid do lamp, narzędzia i różne użyteczne materiały, które mogły poprawić warunki naszej egzystencji. Przynosili również leki, jeśli ktoś się rozchorował. Raz Socha przyniósł specjalne lekarstwo dla Pawełka. Według diagnozy mamy zachorował na coś w rodzaju anginy i infekcję gardła, dlatego poprosiła Sochę o medykamenty na tę przypadłość. Ale on razem z ojcem mieli obawy, że jeśli Poldek zbyt często będzie chodził do apteki, może wzbudzić podejrzenia i zaalarmować tym władze. Nie mogliśmy sobie na to pozwolić, by Socha – nasz jedyny żywiciel i przyjaciel – został narażony na takie niebezpieczeństwo. Mimo wszystko zdecydował się pójść do apteki, ale ostatecznie zawrócił. Wolał nie podejmować ryzyka. Następnego dnia zapytał mamę, czy jest może coś innego, co mogłoby pomóc Pawełkowi, a co on mógłby dostarczyć. Mama wiedziała o czymś takim: domowe, sprawdzone remedium, czyli kogel-mogel. Był popularny we wschodniej Europie. Dokładny przepis zmieniał się w zależności od rodziny i regionu. Mama robiła klasyczny kogel-mogel, czyli tylko z jajek i cukru. Ta mikstura miała być pomocna w pozbyciu się zapalenia gardła. Socha przyrzekł następnego dnia zjawić się ze składnikami.

Nie minęło kilka godzin, a usłyszeliśmy jakieś tłuczenie się w rurze, po czym właz został otwarty. Ktoś się zbliżał! Mój tata stanął szybko przy włazie, uzbrojony w kij, był przygotowany na powitanie intruza. Ale w otworze ujrzeliśmy gramolącego się Sochę! To była dopiero niespodzianka! Nie chciał i nie mógłby czekać całego dnia z dostarczeniem lekarstwa dla chorego Pawła. Zebrał więc zamówione przez mamę składniki i jeszcze raz przeczołgał się czterdziestocentymetrową rurą do nas. Pełzł przez nią z czterema jajkami czule otulonymi, by się nie stłukły, zasupłanymi w chusteczkę do nosa zawiązaną w malutki tobołek. Dzierżył delikatny transport w zębach, jak robił to św. Bernard. Czy ktoś

jest w stanie sobie to wyobrazić? Czołgać się rurami ileś kilometrów, transportując taką delikatną rzecz jak cztery jajka, niesione ostrożnie, trzymane ustami, by mieć pewność, że się nie zbiją? To dlatego mama uważała Sochę za naszego anioła stróża. Wkrótce i cała reszta spośród nas miała zacząć myśleć o Poldku w ten właśnie sposób.

Polacy byli maksymalnie ostrożni w tych wyprawach do naszego podziemnego schronienia. Doczołgiwali się do nas, schodząc do kanałów codziennie przez inny właz z ulicy, a my mogliśmy ich słyszeć dobre pół godziny wcześniej, nim do nas dotarli. Podziemne echo niosło chlupotania w rurze, kiedy przeciskali się przez wodę i szlam. Jaki oni robili rumor, gramoląc się przez tę rurę! Ich wspólnik, Kowalów, zawsze stał na czatach na ulicy na górze, by w razie czego ratować sytuację. Nasi kanalarze mieli przygotowane alibi, gdyby zostali nakryci. Zawsze mieli na sobie wodoodporne kombinezony i gumowe buty do bioder, byli uzbrojeni w stosowne narzędzia i latarnie, jeśliby więc ktoś ich chciał zaczepić, mogli przekonywająco zapewnić, że są w kanałach w trakcie realizacji zleconego zadania. I faktycznie, dokonywali legalnej inspekcji kanałów zgodnie z przydzielonymi zwykłymi obowiązkami. Martwiło ich tylko to, w jaki sposób mogliby wyjaśnić zawartość swoich roboczych toreb, wypełnionych pakunkami z jedzeniem czy innymi produktami. Zdecydowali, że jeśli kiedykolwiek zostaliby zatrzymani, zrzucą torby w dół, do podziemnej rzeki, niech nurty Pełtwi poniosą je w siną dal.

Nie trzeba było zbyt długo czekać, by nasi kanalarze musieli skorzystać z przygotowanego wcześniej alibi. Niespodziewanie, kiedy schodzili z ulicy w głąb kanałów, natknęli się na oficera gestapo i zrobiło się niebezpiecznie. Niemiec podszedł i zaczął ich przepytywać jak na przesłuchaniu. Błyskawicznie pozbyli się toreb, zrzucając je w dół,